

Szekspir u Horzycy

„Młody, pełnokrwisty chłopak zakochał się od pierwszego wejrzenia w czternastoletniej dziewczynie. Ona w nim. Kochają się, mimo że dzieli ich nienawiść rodów, do których należą. Kochają się na życie i śmierć, bo nawet ona nie potrafi ich rozłączyć... są gorąco-krwistymi, pełnymi temperamentu wcześniej dojrzewającymi Włochami!”

Tak oto pisze pani Teresa Moszkowska w tygodniku „Odra” (6. 7. br.), poprzedzając właściwą recenzję Romeo i Julii, granej przez teatr toruński, krótkim wstępem o sobie i Szekspirze.

Czytając słowa recenzentki (nie spotkaliśmy się dotąd z tym nazwiskiem) czujemy dreszcze emocji. Ten „pełnokrwisty” Romeo i ta Julia namiętna uderzają nam do głowy. — Widzimy nozdrza młodzieńca falujące gwałtownie, oczy krwią nabiegłe... — Cóż za bajeczne przeżycie ominęło widownię Torunia! I to wszystko przez Horzycę! Bo „w inscenizacji toruńskiej nieśmiertelne dzieło Szekspira zostało pozabawione zupełnie namiętności i ognia”. Otóż to. I po cóż zabierać się do reżyserii, skoro się nie potrafi tego zrobić? Już, już — o włos prawie — byliśmy od nastroju „Celestyny” Ferdynanda de Rojassa. Trudno. Przepadło.

„Najważniejszy moment poznania się i zawiązania miłości rozpiął się we mgle metafizyki reżysera. Najbardziej uroczy flirt (jeśli można użyć tego słowa), jaki zna literatura dramatyczna, stracił cały smak i dowcip, zrobił się nienaturalny i nieefektywny. W scenie balkonowej za mało namiętności. Kochankowie za mało zajmują się sobą, poświęcając wiele uwagi

deklamacji... (i dalej) ... nie wyszła przez to w tej scenie przemożna opanowująca oboje — chęć posiadania się już, zaraz”. I rzeczywiście. Nie wyszła. Aż złość ogarnia na tę całą deklamację, którą Horzyca osobiście wykoncypował w jak najbardziej nieodpowiednim momencie, każąc deklamować Julii:

„Nocy przyjdź! I przyjdź Romeo.

Ty dniu wśród nocy! Na jej czarnych skrzydłach

Ty zajaśniejesz, jak na skrzydłach kruka

Śnieg świeżo spadł. Przybądź, laski pełna,

Daj mi Romea — a gdy umrze, weź go i rozdziel w małe gwiazdki...”

Trzeba przyznać, że pomysł dobry nie był, jak również i ten, gdy Romeo na wieść o śmierci ukochanej deklamuje za Horzycą: „O gwiazdy, rzucam wam wyzwanie!” Albo przy grobie Julii:

„Zostanę z tobą, aby już nie wyrzeć

Z pałacu mrocznej nocy...

Tu mój wieczysty odpoczynek, tutaj

Z ciężarem życia strudzonego karku

Fatalnych gwiazd otrząsnę

Jarzmom...”

„Fatalnych gwiazd otrząsnę jarzmom... Swoją drogą ta metafizyka Horzycy — to jednak nonsens. Czyż nie lepiej brzmiąco:

— „Julio, dość tych komedii. Wstań!

Nic ci nie jest. Grobowe faramuszk.

Chodź, ale już, zaraz! oto nasze łóżce, zasłonie je kotarami — jesteś moja kobietą!”

To: „moją kobietą” — wymawia pełnokrwisty Romeo ze specjalną namiętnością (Gołębiowski był do niczego w tym momencie, choć nie jego to wina, bo „brak

temperamentu i uczucia wynikał z narzuconego przez reżysera stylu całego przedstawienia”).

W ogóle zblaznili się wszyscy po kolei. Bo choćby taki Torwirt — dekorator. Cóż najlepszego zrobił? „Oświetlony w ostatniej scenie jaśnym reflektorem bukiet czerwonych róż, mających być niby symbolem miłości — był jedynie dowodem złego smaku”. Otóż właśnie. I jak taki dekorator wygląda? A wszystko przez lenistwo? Trzeba było do Łodzi pojechać, „Celestynę” obejrzeć — tam się różami nikt nie bawił. Tam było życie... i lekka kotara, cienie kochanków i w alkwie łoża.

Czyż uratuje nas teraz to, że „Zdzisław Salauburski zagrał bezbłędnie scenę śmierci. Antża... dobrze nienawidzi, za mało żurnarny; Janusz Obidowicz — Parys — sympatyczny... Kaniowski (Laurenty) — poprawny”. Czyż uratuje nas ta wnikliwa ocena poszczególnych aktorów roli? Przecież! Nawet i to nie uratuje, że Kaniowski nigdy nie grał Laurentego...

Uratują nas może cienie Modrzejewskiej — odtwórczyni Julii, o której recenzenci amerykańscy z entuzjazmem pisali, że „była wcieleniem poezji”, przeciwstawiając jej wspaniałą interpretację sławnej amerykańskiej aktorki Neilson, która mylnie pojmowała Julię jako „pełną kokieterii zmysłową dziewczynę”. Na miły Bóg! — Cóż wyzwolić może Toruń od hańby, która spadła na nas — z bardzo poczytnej na naszym terenie „Odry”, redagowanej przez p. Wilhelma Szewczyka?

Już wiem! Szekspir! Trzeba po prostu przeczytać tekst Romea i Julii — może znajdziemy w nim bodaj cokolwiek, co by usprawiedliwiało Horzycę i tę jego okropną metafizykę. (Chodzi nam o honor miasta).

Coś mi się przypomina... jak to było... w tym ogrodzie Kapuletów? Czy nie tymi słowami Romeo do Julii mówił:

„O przemów jeszcze, ty promienna! Jesteś

Nad moją głową w tej ciemności nocnej. Jak nieb skrzydlaty poseł dla olśnionych Śmiertelnych wzroku, który jest

przykuty
Do tej postaci, pośród chmur leniwych,
Przez atmosfery przestwór
zeglującej...
(akt II, scena 2)

To coś... jakby pojęcie pitagorejskiej muzyki sfer... Dzięczyna modlitwa śmiertelnych blakająca się między wirującymi w przestrzeni — gwiazdami, co zrodziły miłość — siłę potężną z kosmosu poczętą i kosmos poczynającą.

Ten szekspirowski „wydźwięk” (co byśmy zrobili bez tego cudownego wyrazu, który tak ostatnio wzbogacił nasz ubogi język?) — nada, jak gdyby pewien sens interpretacji Horzycy.

Dobrze jest czasem zajrzeć do tekstu, gdy się pisze o jakimś dziele. Zawsze to trochę pomaga. Bo to i myśl nowa jakaś wpadnie do głowy i przynajmniej, skoro do innych miast recenzja p. Moszkowskiej trafi i ludzie tam się dowiedzą, co o nas piszą, to gdy znów nasze usprawiedliwienie przeczytają — pomyślą sobie: w tym Toruniu jednak i Szekspira czytają... hm... hm... i przychylniej na nas popatrzą — a o to właśnie chodzi, bo Horzycy już nie pomoże. Po tej recenzji — ino wazetek spakować i z Torunia... a... Bo i jakże zostać tutaj może człowiek, co na pytanie nasze:

— Co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

Odpowiada metafizycznie:

— Nie umiem poprawiać bogów.

Prozę. Nie dość, że z Szekspirem piwa nawarzył, teraz znów Duerrera włącza do całego galimatiasu. Po to chyba, żeby znów ktoś słusznie o nim źle napisał, a Toruń rumienił się się ze wstydu — za Horzycę.

Maria Krzemieniowa